

ptaki

PATRYCJA  
ŻUREK



## Prolog

Zapiaszczone stopy zanurzyłam w jeziorze, by je obmyć. Fale chlupotały cicho, kiedy rozbijały się o brzeg, łączyły się z prądną, szumiącą pieśnią drzew i świergotem ptaków. Melodia niosła się w dal, ulatywała do pierzastych chmur rozciągniętych na błękitnym niebie. Słońce oparło się na moich ramionach, rozgrzewało opaloną na brązowo skórę. Wiatr igrał w wierzchołkach drzew, czasami zlatywał, by przeczesać długie włosy. Jezioro iskrzyło się, falowało, nęciło chłodem. Obok Szymon pochrapywał cicho, rozciągnął się na kocu, twarz przesłonił ręką. Jego blada cera zaczerwieniła się od słońca. Nieopodal ojciec zamachnął się i haczyk z przynętą plusnął w wodę. W sieci miał już sporo okoni, dwa karpie i płocie. W tataraku jakiś ptak się szarogęsił, szemrały poruszane skrzydłami łodygi.

Idealnie.

Szymon się obudził. Poczułam dłonie na plecach. Zerknęłam na niego spod szerokiego ronda kapelusza.

– Snujesz marzenia? – zapytał.

Załoczył okulary, poprawił fryzurę i skrzywił się, kiedy zobaczył, jaki jest czerwony.

– Myślałam o mistrzostwach – odparłam z ekscytacją.

Pochylił się i pocałował mnie w ramię.

– Na pewno znów wygracie. Nie macie z Adamem sobie równych.

– On też jest o tym przekonany, ale poziom będzie wysoki.

– Mówisz tak co roku. – Zaśmiał się i objął mnie ramieniem.

Z Szymonem przyjaźniłam się od podstawówki, ale dopiero tego lata zostaliśmy parą. Pomyślałam, patrząc w jego jasnozielone oczy, że nie mogłam sobie wyobrazić lepszego partnera. Dłoń o delikatnych, prawie kobiecych palcach łaskotała moje ramię. Dopiero się poznawaliśmy, od zupełnie innej strony niż wcześniej.

– Chcielibyśmy z Adamem spróbować na mistrzostwach Europy, a później świata – wyznałam. Denerwowałam się, czekając na jego reakcję. – Rozmawialiśmy o tym niedawno.

Szymon zmarszczył brwi.

– To oznacza więcej pracy, treningów. A co ze studiami?

– Mogłabym zrobić sobie wolne – powiedziałam na wydechu. – Póki jestem młoda i mam siły, powinnam realizować pasję. Nie wiem, ile będę w stanie tańczyć, uczelnia może poczekać.

– Warto mieć wyuczony zawód, Rilla. Każdy sportowiec ci to powie – zaprotestował. Dłonią uspokajająco przesunął wzdłuż mojego kręgosłupa. – Co na to rodzice?

– Tatuś jest za. – Spojrzałam na ojca, który wyciągał właśnie z wody kolejną zdobycz. Srebrne ciało szamotało się, ojciec chwycił rybę, uwolnił z haczyka, pocałował w pyszczek i wypuścił. Kochałam go za takie drobne gesty, które wyjawiały, że jego szorstki charakter to tylko skorupa. On stale mnie wspierał. – Gorzej będzie z mamą, chociaż zawsze słucha tego, co on mówi.

Westchnęłam w duchu, zdawałam sobie sprawę, że to będzie ciężka przeprawa. Mama, pomimo że szanująca zdanie ojca, czasami stawiała w opozycji. Dlatego chciałam mieć po swojej stronie także Szymona.

– Ile czasu byś chciała na to poświęcić? – drążył.

Wzruszyłam ramionami.

– Dwa, trzy lata? Pięć? – rzucałam propozycjami. – Adam chciał zmienić trenera, może zatrudnić kogoś z zagranicy? Jego ojciec jest bogaty, też bym na tym skorzystała, bo moim się nie przelewa.

– Chyba zacznę być zazdrosny. – Szymon zaśmiał się, rozładowując napięcie.

Kochałam go.

– Adam... – urwałam, szukałam odpowiednich słów – to nie jest typ faceta, którym mogłabym się zainteresować.

Szymon prychnął. Przewróciłam oczami, przecież wiedział, jaki miałam stosunek do nieco wywyższającego się, rozpieszczonego do granic Adama.

– Ta, jasne.

– Mówię poważnie. – Szturchnęłam go w bok. – Tylko ciebie kocham.

Pochyliłam się i pocałowałam go. Wplótł palce w moje włosy, przyciągnął bliżej. Serce szamotało się w piersi jak dziki ptak, brakło mi oddechu. Gardło ścisnęło się wzruszeniem. To było takie naturalne, że zastanawiałam się, dlaczego tak długo byliśmy ślepi.

– Ja ciebie też kocham – wymruczał w moje usta, kiedy niechętnie się od siebie oderwaliśmy. – Na zawsze.

– Dobra, gołąbeczki. – Nawet nie zauważyłam, że ojciec podszedł. – Czas wracać do domu. Mamy całe wiadro ryb.

– Jutro niedziela, może zrobimy grilla? – zaproponowałam. – Moglibyśmy pożreć te przysmaki.

– Wspaniała myśl. Wiesz, że grillowanie to mój drugi konik.  
– Ojciec uśmiechnął się na samą myśl.

Ostatnio częściej to robił, chociaż radość nie zawsze sięgała oczu. Nie umiałam dojść, co tak bardzo go boli, ale wierzyłam,

że kiedyś się otworzy. Czekałam cierpliwie, w końcu mieliśmy czas. Dopiero niedawno weszłam w okres, kiedy zaczęłam interesować się jego życiem. Tkwiło w nim coś, czego nie umiałam zdefiniować, jakaś zadra.

– A teraz zbieramy się, żeby Baśka nie przetrzepała nam skóry, że się spóźniliśmy. – W jego głosie zabrzmiała ta szczególna nuta, jak zawsze, kiedy mówił o małżonce.

Szymon też tak do mnie mówił, a moje serce drżało.

– Szkoda, że nie mogła przyjechać z nami – powiedziałam, wytarłam stopy w ręcznik i włożyłam sandały. – Przydałoby jej się trochę słońca i nic nierobienia.

– Wiesz, że kocha pracować – zauważył ojciec. – Nic nie odciągnie jej od liczb i ksiąg. Naprawdę nie wiem, jak można lubić pracę księgową, to niepojęte. I do tego w sobotę. Jednak skoro chciała pracować, mieć tę niezależność, to ma. – Jego ostatnie słowa zgrzytnęły mi w uszach, ale nie zastanawiałam się nad nimi głębiej.

– Ja też tak uważam, tatuś. – Przytuliłam go krótko. – Ale jutro zmusimy ją do relaksu. Tylko ogród, grill i pieczone rybki.

Usiadłam z przodu, ojciec za kierownicą, a Szymon za nim z tyłu. Mieliśmy do domu trzydzieści kilometrów. Ruch na drodze nie był zbyt duży, tata prowadził i nucił pod nosem, wtórując muzyce z radia. Miał niski, dźwięczny głos. Wydawał się zadowolony. Przysypiałam, ukołysana miarowym szumem opon i słońcem wpadającym przez przednią szybę. Odpływałam w niebyt wypełniony ciepłem, uczuciem szczęścia, wolności i wakacyjnego czasu; pełna planów na przyszłość, z wizją wygrania mistrzostw świata w tańcu standardowym i latynoamerykańskim, kiedy ojciec krzyknął.

Nie wiedziałam, co się dzieje. Otworzyłam oczy i zobaczyłam

tylko przód białego samochodu dostawczego na naszym pasie. Ojciec zaklął, skręcił gwałtownie. Szarpnęło mną.

Pasy ścisnęły boleśnie klatkę piersiową, głowa odskoczyła w przód, a później uderzyła o zagłówek. Samochód gruchnęła w drzewo, siła rozpędu odbiła go, przeokoziółkowaliśmy, by wbić się w kolejny pień. Wokół rozprysło się szkło, czułam igły na dekolcie, ramionach, gołych nogach i twarzy. W uszach pisało. Pasy puściły, a ja przeleciałam przez przednią szybę. Przez ułamek sekundy szybowałam, aby zaraz zderzyć się z twardą ziemią.

Czas na chwilę się zatrzymał.

Świat wydawał się inny. Widziałam wszystko w ostrych barwach, przekoloryzowane. Drzewa pochylały się nad nami, wiatr szemrał w koronach. Słońce odbijało się od karoserii i raziło w oczy. Wstałam chwiejnie, zachrząściło szkło, na którym leżałam. Nie zauważałam, że po nogach, ramionach i twarzy ciekłą cienkie strużki krwi. W głowie miałam pustkę. Wrażenie, że w mojej klatce piersiowej nagle zabrakło serca, tylko się pogłębiło. Skronie ścisnęły obręcze, kiedy nachylałam się nad ojcem. Na szczęście wcześniej uchylił szybę, więc miałam ułatwiony dostęp. Miał zamknięte oczy i sine usta. Poklepałam go po policzku.

– Tato – wycharczałam. Gardło bolało, jakby ktoś mnie dusił.  
– Tatusi, obudź się!

Bez odpowiedzi.

Dotknęłam szyi, szukałam pulsu.

Bezszyjsko.

W panice wróciłam na miejsce pasażera, gdzie na podłodze zostawiłam plecak. Działalam machinalnie, instynktownie, napędzana adrenaliną. Zadzwoeniłam po pogotowie, podałam namiar. Kobieta chciała znać stan poszkodowanych, ale nie byłam

w stanie wykrztusić ani słowa więcej.

– Rilla – doszedł do mnie słaby, ledwo słyszalny szept Szymona.

Wsiadłam ponownie do samochodu i z miejsca pasażera przeszłam na tył auta, klnąc cicho, kiedy spódnica zahaczyła o hamulec ręczny. Fotel ojca przygniótł Szymonowi nogi. Uderzył we mnie zapach krwi i czegoś niesprecyzowanego, co było tak przerażające, że włoski na rękach uniosły się i przeszedł mnie dreszcz. Chwyciłam Szymona za rękę i ścisnęłam. Twarz miał bladą, potłuczone okulary trzymał w drugiej dłoni. Smuga krwi wyglądała na policzku jak rozmazany pocałunek.

– Krwawisz – zauważył słabo. – Jak Ovidiu?

Mój ojciec pozwolił mu mówić do siebie po imieniu, co znaczyło, że go zaakceptował. Zawylałam w duchu z bezsilności.

– Nie... – jęknęłam. Nie potrafiłam powiedzieć tego, co podejrzewałam. – Nie... wiem.

– Cii – wyszeptał. – Będzie dobrze, kochana. Zaraz przyjedzie pogotowie, zajmą się nami.

Wydawał się taki opanowany, a ja rozpadałam się na milion kawałków. W głowie szalał huragan, panika zaciskała się na klatce piersiowej z siłą obcęgów. Oddychałam płytko, szybko. Serce, rozszalałe do granic możliwości, chciało wyskoczyć z piersi przez gardło.

– Uspokój się, Rilla. – Łagodny głos Szymona kołował nerwy. Ręka w jego dłoni drżała niepowstrzymanie. – Wszystko będzie dobrze. Jeszcze zatańczymy razem. Nie raz. Nie dwa...

Uczepiłam się tej myśli. Spojrzałam na niego. Oparł się o zagłówek, przymknął oczy, jeszcze bardziej pobladł. W ostrym słońcu jego skóra stała się przezroczysta, a nos jakby się wydłużył.

– Szymon, Szymon. – Potrząsnęłam jego ramieniem.

Syknął z bólu, otworzył oczy i spojrzał na mnie zamglo-

nym wzrokiem.

– Wszystko dobrze, Marylko – wymruczał. – Kocham cię, wiesz?

W oddali usłyszałam słaby sygnał karetki.

– Zimno mi tylko, a tak... w porządku. – Jego głos stawał się coraz cichszy, coraz bardziej odległy.

– Szymon! – Potrząsnęłam nim, ale nie odpowiedział. Nie miałam czym go przykryć. – Szymon!

Wypuścił z dłoni okulary, upadły gdzieś pod nasze stopy. Sięgnęłam po nie, ale zakręciło mi się w głowie.

A później była tylko ciemność.

\*\*\*

Daniel ukląkł.

– Ida, zostaniesz moją żoną? – zapytał.

Niska, szczupła blondynka pisnęła. Kilka osób, które dopiero weszły na Babią Górę, obejrzało się, ale Daniel nie zwracał na nich uwagi. Wpatrywał się w szare oczy i czekał na odpowiedź. Wypełniała go niepewność, bo Ida była tak nieprzewidywalna, że jego życie przypominało rollercoaster. Uwielbiał jej temperament i to, że nigdy nie mógł być pewien, co zaraz zrobi.

– Tak! – Odetchnął z ulgą, kiedy odpowiedziała i rzuciła mu się na szyję. – Tylko jak my sobie poradzimy, kochanie? – zapytała, zrobiła dzióbek i przekrzywiła głowę.

Włożył na szczupły palec pierścioneł z oczkiem. Przypatrywała się mu w zachwycie, wyciągnęła rękę. Błyskał od czasu do czasu w słońcu. Pasował idealnie do małych, przypominających dziecięce, dłoni.

– Wezmę dodatkowe zmiany w pracy, w końcu uzbieramy

na ślub i skromne wesele – zapewnił z pasją.

Przytuliła go mocniej, wyczuł rumiankowy zapach jej włosów, wtulił w nie twarz. Jak dla niego ta chwila mogła trwać w nieskończoność. To był ten moment, który stanowił przełom, i Daniel zdawał sobie z tego sprawę. W końcu poczuł się gotowy, mógł zostawić przeszłość i cały syf, który się z nią wiązał, i zacząć coś nowego.

– Tak bardzo się cieszę. Kocham cię – powiedziała mu wprost do ucha. – Na dobre i złe. Na zawsze.

Co oznaczało niecałe siedem miesięcy.

Daniel wpatrywał się osłupiały w pierścionek leżący na jego dłoni. Oczko błysnęło krótko w promieniu słońca i zgasło.

– Nie mogę być twoją żoną po tym wszystkim – Ida mówiła cicho, ale z pewnością siebie, o którą jej nie podejrzewał. Przeobraziła się w silną kobietę, nawet nie zauważył kiedy. A być może zawsze taka była, tylko on nie zauważał? Patrzył na nią i zastanawiał się, czy w ogóle ją zna. – Przykro mi.

– Gówno prawda. – Zapłonął w nim gniew, rozprzestrzenił się w klatce piersiowej, sięgnął do dłoni, które zacisnął w pięści.

– Jesteś potworem, Danielu. – Spojrzała mu wyzywająco w oczy.

Wyglądała niewinnie, ale nie dał się nabrać. Miłość pierzchła gdzieś, zastąpiona przez nienawiść i niezrozumienie. Gdyby mógł, zniszczyłby ją jednym uderzeniem. Powstrzymał się tylko dlatego, że kiedyś ją kochał. W innym życiu.

– Mówiłaś, że będziemy razem na dobre i złe – wybuchnął.

Zacisnął dłonie jeszcze mocniej, jakby chciał zmiażdżyć pierścionek.

– Nie takie złe miałam na myśli, Danielu – odparła prawie beztrosko. Jej ton sugerował, że zrywała z nim bez żalu, lekko,

co jeszcze mocniej go podburzyło. Nic z tego nie rozumiał. Dlaczego tak szybko odpuściła? – Naprawdę mi przykro.

Odwróciła się i odeszła. Daniel zamachnął się i rzucił. Pierścione uderzył ją w głowę, ale się nie odwróciła.

\*\*\*

Ciemność ustępowała powoli. Sen bez snów kończył się, mimo że próbowałam czepiać się go ostatnimi siłami. Powrót do rzeczywistości niepokoił, chociaż nie umiałam powiedzieć dlaczego. Coś uwierało w duszy, budziło złe skojarzenia, ale pamięć nie chciała współpracować, podsuwała tylko obraz mnie i Szymona nad wodą, a później czarną dziurę.

Otworzyłam oczy. Leżałam w szpitalnym łóżku, obok pikała spokojnie aparatura. Ktoś zawiesił w oknie zieloną kotarę i do pomieszczenia wpadało przytłumione słoneczne światło. Czułam ból w całym ciele; ręce, nogi i plecy szczypały, ale dopiero jak z trudnością usiadłam, zrozumiałam dlaczego. Czarne szwy wystawały ze zgrubiałej, zaczerwienionej skóry niczym odnóża robaków. Odruchowo podrapałam jedną z ran i syknęłam z bólu.

To obudziło matkę, która, na wpół leżąc, drzemała w fotelu.

– A więc jednak się ocknęłaś – powiedziała zachrypniętym głosem i wstała.

Nie poznałam jej w pierwszej chwili. Włosy miała tłuste, przylegające mocno do czaszki, zaczesane byle jak na bok. Cienie pod oczami rozlewały się prawie na wychudłe, wklęsłe policzki. Zawsze elegancka, w garsonkach, wyglądała jak karykatura w rozciągniętych dresowych spodniach. Dłonie jej drżały, kiedy wyciągnęła z kieszeni burego swetra papierosa elektronicznego.

– Mamo?

Przecież nigdy nie paliła! Wręcz obsesyjnie dbała o zdrowie.

– Zawsze to jakaś alternatywa – powiedziała apatycznym głosem i uniosła papierosa. – Tu nie wolno palić zwykłych. Zresztą takich też nie, ale to badziewie łatwiej ukryć.

Opadłam na poduszki. Zamknęłam na chwilę oczy, by nie jęknąć. Niczego nie pojmowałam. Matka wstała i podeszła. Ścisnęła kołdrę, aż pobiełały knykcie. Przestraszyłam się wyrazu jej twarzy, zionęła gniewem.

– Wiesz, że dałabym wszystko, żebyś była na jego miejscu? – Jej oczy wydawały się bezdennymi studniami. – Wszystko.

Skąd w niej taka wrogość?

– Mamuś? – Chciałam chwycić jej rękę, ale się odsunęła.

Równie dobrze mogłaby mnie uderzyć.

– Nie pamiętasz, prawda? – syknęła. – Czy tylko udajesz?

Poraziła mnie jej nienawiść. I wtedy wszystko wróciło. Zachłysnęłam się powietrzem, rozkaszałam. Do sali wbiegła zaalarmowana pielęgniarka, wstrzyknęła coś do kroplówki i panika powoli mijała. Matka patrzyła obojętnie, wydawała się zamknięta w bólu, odizolowana.

Kiedy pielęgniarka wyszła, znów zbliżyła się do łóżka.

– Ovidiu nie żyje przez ciebie – wyszeptwała, a każde słowo było niczym kamień umieszczony na mojej piersi. – Wymyśliłaś wypad nad jezioro, zamiast siedzieć z dupą w domu i przygotowywać się do studiów.

– Mieliśmy z Adamem inne plany, tata się zgodził – zaprotestowałam słabo.

Nic innego nie przyszło mi do głowy, co miałam powiedzieć? Mój głos zabrzmiał głucho w zderzeniu z jej rechotem.

– Mówił mi o tych twoich mrzonkach – odpowiedziała. –

Teraz nie ma na to szans. Nie wiem, jakim cudem jako jedyna przeżyłaś, nawet nic sobie nie złamałaś, ale...

Słowa utonęły w szumie, który nagle wypełnił uszy. Jako echo powracało zdanie, że tylko ja przeżyłam wypadek. Przypomniałam sobie bladą twarz Szymona, jego gasnące spojrzenie.

Nie!

Głowę ojca rozciętą tuż pod linią włosów i jaskrawą krew, która wsiąkała w kołnierzyk koszuli. Wrzeszczałam wewnątrz siebie, nie mogąc wydobyć żadnego dźwięku, ciągle patrzyłam na matkę niewiele rozumiejącym wzrokiem. W końcu umilkła.

Zapadałam się w sobie coraz bardziej. Szukałam po omacku jej ręki, ale zacisnęła pięści i schowała za plecami.

– Straciłam wszystko, Rillo – powiedziała poważnie. – I już nie mam po co żyć.

Chciałam zapytać, co ze mną, ale wyszła, zamykając drzwi.

\*\*\*

Adam wpatrywał się we mnie bez słowa, nie umiał ukryć obrzydzenia. Mój wygląd ranił jego poczucie piękna. Szwy nadal wyłaniały się z ciała niczym macki, rany trudno się goiły, ropiały, wydzielały nieprzyjemny zapach. Siedziałam na skraju łóżka, jeszcze w piżamie, ale czekałam już na pozwolenie opuszczenia szpitala. Dlaczego Adam wolał odwiedzić mnie tutaj, w neutralnym pomieszczeniu, niż w domu, gdzie czułabym się pewniej? Wiedziałam, że coraz bardziej oddalam się od życia, jak gdybym szybowoła w kosmos i obserwowała Ziemię już tylko jako małą, niebiesko-zieloną kropkę.

– Cześć – zagadnęłam w końcu. Majtnęłam nogami, żeby mógł zauważyć, że i one są poszyte. – Miło, że wpadłeś – po-

wiedziałam nieszczerze.

Tak naprawdę głównie mnie to obchodziło. Miałam jednak do odegrania rolę, której wszyscy ode mnie oczekiwali.

– Yyy, jak się czujesz? – Wręczył mi niezdarnie bukiet kwiatów.

Nawet na niego nie zerknęłam, nie powąchałam, tylko odłożyłam na łóżko. Adam przestępował z nogi na nogę. Nawet było mi go trochę żal, chociaż wiedziałam, po co przyszedł.

– Trochę jak zombie. – Wskazałam szcicia na rękach. – Ale będę żyć. W przeciwieństwie do niektórych.

Nie potrafiłam zapanować nad emocjami. Chciałam ranić siebie i wszystkich wokół. Adama speszyło moje zachowanie.

– Przyjmij moje kondolencje – wybąkał. Nie patrzył mi w oczy, zbyt bał się śmierci, żeby wyrazić szczere współczucie. – Rillo...

– Dziękuję – weszłam mu w słowo specjalnie. – Jak przygotowania do mistrzostw? – zapytałam uprzejmie.

Wyprostował się, nabrał pewności siebie. Jeżeli chodziło o tańiec to, podobnie jak ja, znał swoją wartość. Był dobry i wiedział o tym, a to dawało mu przewagę. Przypatrywałam się jego twarzy, szukałam oznak żalu, ale nie znalazłam nic oprócz obojętności.

– Nie będziemy już razem tańczyć, wiesz o tym? – zadał to pytanie takim tonem, jakby chodziło o pogodę.

Przekrzywiłam głowę, zmrużyłam oczy.

– Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, co? – mówił dalej, kiedy milczałam.

Zacisnęłam usta jeszcze mocniej. Spuściłam głowę, żeby nie widział, jak szybko mrugam, próbując pozbyć się zdradzieckich łez. Niby wiedziałam, po co przyszedł, ale myślałam też, że jestem twardsza, że to udźwignę. Jak cholernie się pomyliłam. Dziura w piersi pogłębiła się, była niczym ciągle rozszerzający się Wszechświat.

Odchrząknęłam.

– Twoje... – zająknął się – blizny. Nie mielibyśmy szans. Sukienki są krótkie, mają odkryte plecy. Może i dałoby się zakryć ręce, ale nie całe ciało, Rilla. Kurde, musisz zrozumieć. – Tupnął nogą. – To obrzydliwe. Sędziowie lubią ładne kobiety, bez skazy. A ty nie jesteś już... – urwał gwałtownie.

Dzieciak.

– Jasne – powiedziałam tylko.

– Może w przyszłym roku? Jak dojdiesz do siebie? – zaproponował nieszczerze.

Rok bez treningów eliminował mnie całkowicie i on o tym wiedział. Rzuciłam mu spojrzenie, które mroziło krew w żyłach. Cofnął się o krok, uniósł dłonie w pojednawczym geście.

– Z kim zatańczysz? – zapytałam, żeby pognać siebie jeszcze trochę.

Nie mogłam się powstrzymać. Musiałam porządnie się ukarać.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami, ale w tym geście pełno było fałszu.

Mogłabym się założyć, że wybrał już następczynię, zapewne zaczęli już trenować, mimo że spędziłam w szpitalu raptem trzy dni. Przygryzłam policzek, by nie krzyczeć, skinęłam głową, udawałam, że łykam to kolejne kłamstwo.

– Idź już – powiedziałam twardo. – Zaraz wychodzę do domu. O dwunastą odbędzie się pogrzeb taty, a jutro Szymona.

– Postaram się być – zapewnił, ale wiedziałam, że kłamie.

Wyszedł, pociągnięte drzwi trzasnęły lekko i znów się otworzyły. Miałam przeczucie, że już nigdy go nie zobaczę.

\*\*\*

Z pogrzebów nie zapamiętałam zbyt wiele. Wokół przewijało się pełno ludzi. Sierpniowe słońce grzało, przyciągane przez czarne stroje żałobników. Wydało mi się dziwne, że poza cmentarzem toczyło się życie, po ulicach jeździły samochody, ludzie spieszyli się w sobie tylko wiadomych sprawach, śmiało się jakieś dziecko. Przed konduktem ojca przebiegł czarny kot, zauważyłam, że kilku ludzi wykonało znak krzyża albo odłączyło się od pochodu, by ominąć ścieżkę zwierzaka. Ojcu w jego ostatniej drodze nie towarzyszyło zbyt wiele osób, ot, garstka znajomych z pracy, za to w pochówku Szymona brały udział tłumy. Mama stała obok mnie przy grobie taty. Kołysała się lekko w przód i w tył, odpalała papierosa za papierosem, popijała po kryjomu wódkę z piersiówki.

Obserwowałam to z chłodną obojętnością.

Na pogrzeb Szymona musiałam iść sama. Matka kategorycznie sprzeciwiła się, kiedy ją o to poprosiłam.

– Nie tylko ty straciłaś kogoś bliskiego! – wydzierałam się dzień wcześniej, wieczorem, kiedy już okrzepliśmy po emocjach związanych z pochówkiem ojca. – Potrzebuję cię!

– A ja potrzebuję Ovidia! – odpowiedziała równie ostro. – Nie jestem twoją niańką, do cholery. Stań się w końcu kobietą!

– Mamo. – Zapłakałam, uczepiłam się jej rękawa, ale odgoniła mnie niczym muchę. – Proszę... Nie dam rady.

– Będiesz musiała. – Oczy matki pozostawały lodowate. – Już teraz zawsze tak będzie.

Sięgnęła po butelkę i upiła łyk. Kilka kropel popłynęło z kącika ust do brody i spadło między piersi. Matka zakrztusiła się, sięgnęła po paczkę marlboro.

Tłumy podczas ostatniej drogi Szymona przytłaczały. Stannie omijałam wzrokiem jego rodziców, którzy stracili jedy-

nego syna. Z mojej winy. Nie powiedzieli tego na głos, wyczułam to w spojrzeniach. A także we wzroku innych osób, w cichych szeptach, które w tłumie urastały do wrzasku.

Wytrwałam tylko dlatego, że byłam mu to winna. Kilka razy chciałam zawrócić, przepchnąć się przez ciżbę i po prostu uciec, ale zaciskałam zęby i parłam naprzód. Znosiłam wskazywanie palcem i niestosowne chichoty, szturchanie – niby niechcący – i ukradkowo robione zdjęcia.

Kiedy wróciłam do domu, matka spała. Mieszkanie zamieniło się w melinę zaledwie w tydzień po tragedii. Butelki walały się w kątach, niektóre puste, inne jeszcze pełne. Niedopałki papierosów zaścielały podłogę niczym pomarańczowo-białym dywan, wysypywały się z popielniczek w salonie, w kuchni, pływały niczym trupy w toalecie.

Jedynie mój pokój był wolny od śmieci. Zaciągnęłam zasłony i padłam na łóżko, ale mimo ogromnego zmęczenia sen nie nadchodził. Falami powracały wspomnienia, teraz jaskrawe niczym zdjęcia z wakacji robione w ostrym świetle słońca.

Zastanawiałam się, dlaczego nie umarłam razem z nimi? Po co miałam żyć, skoro odebrano mi wszystko. Zirytowałam się tymi przemyśleniami, bo to brzmiało jak słowa matki ze szpitala. Nie chciałam być jak ona, pogrążona w smutku, zalewająca się wódką, schowana w kłębach dymu. Szymon by tego nie chciał, ojciec tak samo.

Ovidiu.

Rzadko pozwalałam sobie nazywać go po imieniu, bo matka uważała, że to brak szacunku, ale kiedy tak robiłam, stawał się dla mnie pełnowymiarowym człowiekiem, nie tylko instytucją, jaką dla dziecka jest ojciec. Wydawał się wtedy bliższy, bardziej ludzki. Leżałam i wspominałam wszystkie chwile, które

spędziliśmy razem. Odkąd skończyłam pięć lat, letnie weekendy spędzaliśmy nad jeziorem. Ja czytałam, tata łowił ryby. Sielanka. Mogłam pogadać z nim o wszystkim, zwierzyć się z marzeń i planów. Z matką nigdy nie miałam takiego kontaktu, podejrzewałam, że jest zazdrosna o naszą relację. Mówiła o mnie „córeczka tatusia”, ale nigdy nie traktowałam tego określenia jako pozytywne.

I tylko w jednym temacie tata milczał jak zakłęty.

Podniosłam się na łóżku gwałtownie. Zawsze, kiedy wspominałam jego rodzinę w Rumunii, zamykał się, posępniał i uciął temat. Raz nawet krzyknął, że to nie moja sprawa. Wściekł się wtedy, rzucał czym popadnie, a ja się rozpłakałam. Mogłam mieć wtedy może z dziewięć lat, ale to wspomnienie wryło się mocno w pamięć.

Słyszałam, że matka krząta się po domu. Wyszłam z pokoju, znalazłam ją w kuchni.

– Mamo, dlaczego tata nigdy nie chciał rozmawiać o babci? Dlaczego nie daliśmy jej znać o pogrzebie? – Uczepiłam się tej myśli niczym kotwicy.

Matka zatrzymała dłoń, którą obejmowała szklankę, w połowie drogi do ust. Odstawiła ją gwałtownie, woda zachlupotała, ale się nie wylała.

– Ojciec dobrze nie ostygł, a ty już brudy rodzinne wyciągasz? – odparła pogardliwym tonem. – Po chuj ci to wiedzieć, co? Chcesz mnie jeszcze bardziej pognębić?

Nigdy nie rozumiałam tego stygnięcia i przewracania się w grobie. Postanowiłam mocniej nacisnąć.

– To jego matka! – powiedziałam twardo. – Ma prawo wiedzieć, że syn zginął.

Ostatnie słowo przebrzmiało i w kuchni zapanowała cisza. Tata

nie żył, a mnie uderzyło to dopiero teraz z siłą huraganu. Zawierowało mi w głowie, oparłam się ręką o stół. Zachowałam jednak kamienną twarz, z zaciętością patrzyłam matce prosto w oczy. Uparłam się, a upór odziedziczyłam po ojcu. Matka była słaba.

– Nie chciał znać tej kobiety. Mówił to od zawsze, od zawsze stawiał sprawę jasno – odpowiedziała chłodno. – Nie wiem, dlaczego tak nagle zaczęła cię obchodzić. Dobrze wiesz, że wspominał ją tylko wtedy, kiedy się upił. Czyli niezbyt często.

– Ale...

– Dość – przerwała ostro. – Ani słowa o tej rumuńskiej wiedzy, bo pożałujesz!

Wysłałam, ale myśl o babce mnie nie opuszczała. Zagłębiłam się w ponury świat żałoby. Z każdym dniem coraz łatwiej było oskarżać siebie o to, co się stało. Leżałam w łóżku całymi dniami, odtwarzałam scenę wypadku, kręciłam filmy pod tytułem „co by było, gdyby...”, ale nie znajdowałam odpowiedzi.

Miotalam się. Nie odwiedzałam cmentarza, nie chciałam dopuścić myśli, że to nieodwracalne.

\*\*\*

Obserwowałam stacanie matki przez prawie dwa lata. Pod jej naciskiem poszłam na studia, ale była to tylko licha odskocznia. Nie przyjaźniłam się z nikim, a na zajęcia chodziłam w kratkę, raz pełna entuzjazmu, innym razem pogrążona w rozpacz.

Kiedy matka straciła posadę księgowej, postanowiłam zacząć zarabiać, ale nie mogłam zatrudnić się na cały etat. W ciągu tygodnia wychodziłam z domu rano, wracałam wieczorem, włóczyłam się po uczelni, przesiadywałam w bibliotekach albo w pracy. Matka już ani trochę nie przypominała tej Barbary, którą Ovi-

diu pojął za żonę. Czasami wpatrywałam się w ich ślubne zdjęcie, które wygrzebałam ze śmieci, pogięte i przerwane na pół. Nie chciała słuchać o uzależnieniach, odrzucała wszelkie formy pomocy. Gniła od środka. Nie miałam pojęcia, skąd bierze pieńiądze na alkohol, dopóki pewnego majowego dnia nie wróciłam do domu wcześniej. Biegunka pokrzyżowała mi plany, nie poszłam na zajęcia i wzięłam wolne w kawiarni, gdzie pracowałam jako kelnerka.

Czułam się fatalnie, brzuch bolał, a mdłości wypełniały gardło. Drzwi były otwarte, więc weszłam cicho. Nie miałam ochoty widzieć się z matką, marzyłam o lekach, prysznicu i długim, regenerującym śnie.

I wtedy ich usłyszałam. Matka jęczała miarowo, beznamietnie. Skrzypiały sprężyny wersalki ustawionej w salonie. Wśli-znęłam się tam i bez słowa patrzyłam, jak daje się pieprzyć jakiemuś obwiesiowi z bloków. Znałam go z widzenia, podejrzany, dawno niemyty typ.

Nagle miłość cielesna, której nie zdążyłam jeszcze doświadczyć, wydała się brudna i ohydna. Matka sprowadziła wszystko do zwierzęcego aktu bez znaczenia, do czysto fizycznej przyjemności, chociaż nie widziałam takowej na jej twarzy. Mdłości jeszcze się nasiliły, a słabość ogarnęła nogi.

– Mamo – wychrypiałam. Odkasznęłam i powtórzyłam głośniej: – Mamo!

Tak naprawdę to wydarłam się na całe gardło. Zdziwiony facet zsunął się z matki i zapiął spodnie.

– Jesteś następna w kolejce? – zapytał i wyszczerzył się oblesnie.

Matka zebrała się, obciągnęła sukienkę, wygładziła, jakby miało to sens. Nie mogłam na nią patrzeć, budziła obrzydzenie. Niby tak kochała ojca, tak rozpaczała, a dała się zeszmacić.

Czy naprawdę już nic nie miało dla niej znaczenia?

– Co robisz? – warknęłam, całkowicie ignorując mężczyznę.

– Takie... tam. – Wzruszyła ramionami. – Zdzisiek przyniósł zapas. – Wskazała na kilka butelek na stole. – To zapłaciłam.

– Myślisz, że tata byłby z ciebie dumny? – wycodziłam lodowatym tonem.

Facet zbliżył się o kilka kroków, ale matka chwyciła go za ramię.

– Daj spokój – powiedziała. – Zaczekaj, załatwię to.

Wyszła z salonu i zamknęła drzwi. Zanim to zrobiła, zauważyłam, że Zdzisiek rozsiadł się i odkręcił jedną z flaszek. Matka popchnęła mnie.

– Nie dotykaj mnie – krzyknęłam piskliwie. Panika narażała, czułam szpony na sercu, w okolicy przepony i żołądka. Zaciskały się coraz mocniej, aż zaczynało brakować oddechu.

– Nawet się nie waż mnie dotykać!

– Uspokój się. – Strzeliła mnie w twarz krótkim ruchem dłoni.

– Opanuj emocje, dziewczyno. Siadaj. – Wskazała krzesło.

Chwyciła mnie boleśnie za ramię, wbiła paznokcie w skórę i posadziła. W głowie mi huczało od natłoku myśli. Gdzie podziała się mama? Może nie idealna, zbyt sztywna, ale znajoma, swojska. Kobieta, która dbała o dom, o rodzinę; która nigdy wcześniej nie zrobiła mi krzywdy.

Wychudła do granic możliwości, ze strzępami włosów wokół głowy. Skóra na dekolcie pomarszczyła się, piersi sflaczały i ledwo wypełniały zbyt duży stanik. Sukienka wisiała smętnie. Zastanowiłam się, kiedy ostatnio jadła normalny posiłek? Karykatura dawnej Barbary.

– Co ty mi się wpierdalasz do życia, co? – Chwyciła mnie znów za ramię i ścisnęła. – Najpierw przez ciebie ginie ojciec, a teraz jeszcze chcesz zniszczyć relację ze Zdziśkiem? Myślisz,

że łatwo go było tu ściągnąć? Ma takich dup jak ja na pęczki!

We wcześniejszym życiu, tym dobrym, matka nigdy nie użyłaby publicznie słowa „dupa”. To mną wstrząsnęło. Świadczyło o jej degrengoladzie.

– Ovidiu... – zaczęłam, ale potrząsnęła mną mocno.

– Nie żyje przez ciebie! – wysyczała mi w twarz. – PRZEZ CIEBIE. Bez względu na to, co mówi twój dziwny psycholog, ty jesteś winna. Nie możesz za każdym razem wycierać sobie ust jego imieniem. To niczego nie zmienia, do cholery!

– Mamo...!

– Nie mów tak do mnie. – Zbliżyła twarz jeszcze bardziej. W jej oczach zauważyłam czerwone żyłki. Białka miały żółtawy kolor. – Muszę znosić cię tylko dlatego, że Ovidiu by tego chciał.

– Jesteś chora. – Wyszarpnęłam się i odepchnęłam ją. – Powinnaś się leczyć. Pijesz prawie dwa lata, ile może trwać żal?

– Był miłością mojego życia. – Matka nagle straciła impet, osłabła.

Przez chwilę karykaturę zastąpiła dawna Barbara, ale zaraz zniknęła.

Matka nie miała nic oprócz niego. Ovidiu stanowił filar jej życia, sens, na którym opierała całą resztę. Dopiero teraz to zrozumiałam. Bez niego nie potrafiła funkcjonować.

– Nie musisz mnie nienawidzić – wycedziłam przez zęby.

Znów wpędziła mnie w poczucie winy, znów jej smutki przyniotły mnie. Odpowiedzialność za to, kim się stała, spoczywała na moich barkach. Miałam wrażenie, że to wiedziała, dlatego uśmiechnęła się triumfująco.

– To jedyne, co mnie trzyma przy życiu.

\*\*\*

Kiedy matka spała, szperałam w dokumentach, które rodzice trzymali w salonie. Po wódce zapadała w długie, trwające kilka godzin drzemki, miałam więc czas, żeby wszystko dokładnie przejrzeć. Niewiele znalazłam na temat przeszłości taty. Jakieś stare zdjęcie: chyba Ovidia i jego ojca. Paszport. Kartkę z nabazgranym pismem ojca adresem babci. I tyle. Gniotło mnie w środku przekonanie, że muszę wydobyć na światło dzienne tajemnicę taty; że to tam kryje się rozwiązanie problemów.

Desperacko uczepiłam się myśli o rodzinie, której nie znałam.

Postanowiłam działać. Matki i tak nie mogłam uratować.

Ptaki

Copyright © Patrycja Żurek

Copyright © Wydawnictwo Inanna

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover photo by © olgamazina/Adobe Stock & Prikhodko/Adobe Stock

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.

książka ISBN 978-83-7995-543-5

ebook ISBN 978-83-7995-544-2

Redaktor prowadzący: Ewelina Nawara

Redakcja: Barbara Mikulska

Korekta: Bożena Walewska

Korekta techniczna: Beata Paździurkiewicz

Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Aleksandra Bartczak

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

[sekretariat@inanna.pl](mailto:sekretariat@inanna.pl)

[www.inanna.pl](http://www.inanna.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)